



423703

III 28 1911

01. nr. 52



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.

Biblioteka Jagiellońska



1003281670



12. Z MIŃSZCZYNY

Fot. J. Białak
Ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Bibl. Jagiell.
1985 CD

Kultura a ludność.

W tak zwanych zeszytach uzupełniających przy Pet. Mitt. w r. 1907, wyszła praca Hanslika p. t. „Granice kultury i cykl kulturalny w polskim Beskidzie Zachodnim”.¹⁾

Poważne wydawnictwo, temat dla nas bardzo nieobojętny, oraz prawie powszechne choć milczące uznanie dla tej pracy zmusza do rachowania się z poglądami autora. Erwin Hanslik, „choć jest dzieckiem czysto polskich rodziców, jednak los sprawił, że od wczesnej młodości wychowanie otrzymał czysto niemieckie” — jak twierdzi o sobie we wstępie — zna język polski i omawianą okolicę, schodził wioskę za wioską. Po opisie powierzchni i stosunków geologicznych, autor omawia klimat, przy czym podkreśla wielką zmienność temperatury z dnia na dzień, jako cechę przejściowości od klimatu morskiego do lądowego — potrzebne mu to będzie później. Treść swych badań, autor rozбивa na: 1) granice kultury i 2) cykl rozwoju kulturalnego.

W pierwszej części autor upatruje w nieznacznej wielkości wsi ($2 \times 2 = 4$ klm. kwadr., rzadziej do 6 klm. kw.), cechę niższości kulturalnej; toż samo się tyczy rozdrobnionej własności rolnej, rozrzuconej w szachownicę oraz niewielkiego działu roli, wypadającej na rodzinę włościańską, 1 do 4 hektarów. Te cechy w badaniach autora zgadzają się z obszarem odwiecznie polskim, wówczas, gdy większe skupienie wiejskie, nieco większa własność ziemi, oraz mniejsze rozdrobnienie, dochodzące aż do gospodarowania na jednym kawale, cechują osady niemieckie. Jeżeli pewne zjawiska przyjmuje się za cechy rostrzygające, niejako za probierz sprawy tak doniosłej jak kultura, i wprost na tej podstawie wszystko co polskie odsądza się od niej, to należałoby wybierać te cechy z całą dokładnością oraz analizować bez zarzutu, a wreszcie porównać z obszarami dalej na zachód i wschód leżącymi od Beskidu. W rzeczy samej pierwszy zarzut metodyczny, który należy postawić pracy E. Hanslika, jest ten, że żadna z tych

cech nie jest ściśle na miejscu wyodrębniona, nie jest związana wyłącznie z ludnością polskiego lub niemieckiego języka, a w dalszym ciągu żadna z nich nie może być uważana wogóle za cechę polskości (słowiańszczyzny) lub germanizmu, bo takich cech można się łatwo doszukać wśród ludności rolnej na całej kuli ziemskiej u ludów najrozmaitszych, a nawet u jednego ludu znaleźć można cechy — podług metody Hanslika — kultury i jej braku; jak gdyby, na przykład, w Europie zachodniej szachownicy nie znano!

W rozdziale o „rzeczowych postaciach kultury” (str. 26 i nast.), autor dochodzi do wniosku, że obok zbyt małych działek chłopskich cechą stosunków polskich (i słowiańskich) jest wielka przepaść między małą a wielką własnością rolną. Ze zdziwieniem można się dowiedzieć, że polskie latyfundiya są rzeczą swoistą, i że Niemcy ich wcale nie znają — tak możnaby wnioskować. Jeżeli one dziś przeważają w Niemczech na wschód od Łaby, gdzie kultura niemiecka doszczętnie zapanowała, to dlaczego tam nie znikły. Hanslik zaznacza na str. 30, że gdy obszar w wiekach średnich, skolonizowany przez Niemców, później uległ zniszczeniu, to zarazem stracił owe cechy kulturalne we władaniu ziemią — dla autora kultura w swych objawach stanowi całość jednolitą — dlategoż owa kultura niemiecka okazała się na wschód od Łaby tak skłonna do latyfundiów, a ich właściciele dzisiaj rządzą w Niemczech?

Na str. 27 znajduje się twierdzenie, że w Beskidzie „...nasz starosłowiański obszar jest tylko najbardziej zachodniem rozgałęzieniem niezmiernego obszaru wschodnio-europejskiej biedy” — jest to perła frazeologiczna pierwszej wody: wschód Europy ze swem gminnem władaniem ziemią jest tu traktowany jako jedna całość z posiadaniem indywidualnem, rozpostartem na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

Na str. 30 wylew liryzmu: „tu tysiące ludzi, którzy pędzą żywot niegodny człowieka poniżej minimalnych wymagań istnienia podług pojęć zachodnio-europejskich, tam zaś nieliczne jednostki, które mogą używać naj-

¹⁾ Kulturgrenze und Kulturzyklus in den polnischen Westbeskiden. Eine prinzipielle kulturgeographische Untersuchung v. Dr. Erwin Hanslik. Petermanns Mitteilungen. Ergänzungsheft № 158.

wyszukańszych objawów cywilizacji Europy zachodniej i t. d.,” — obraz ten ma być przedstawieniem idylli niemieckiej, gdzie chłopu najwidoczniej niczego nie brakło. Szkoda, że patetyczny autor nie uzupełnił swych wylewów trzema zjawiskami dziejowymi: 1) w XIII wieku osadnictwo niemieckie dążyło do niekulturalnej Słowiańszczyzny nie skutkiem dążeń ideowej, lecz uciekając przed rozbojami raubritterów i zdzierstwem właścicieli ziemi, 2) wojna chłopska w XVI wieku była nie w Polsce, lecz w Niemczech, gdzie ludność rolniczą doprowadzono do wybuchów rozpacz i 3) w XVIII wieku, po przyłączeniu Prus Królewskich do państwa Fryderyka II, okazało się, że przy całej mozaice stosunków rolnych w anarchicznej Polsce los chłopów był lżejszy, niż w rdzennym Fryca Brandenburgu. 1)

W rozdziale „ideowe postacie kultury” autor dochodzi do przekonania, że cechą niższej kultury wschodniej, słowiańskiej był również brak stanu średniego, któryby istniał między rycerzem-właścicielem ziemi a robotnikiem na roli. Należałoby odróżnić stan średni wiejski i miejski, czyli niezależnych zamożnych rolników i mieszczan; — co do pierwszych, to w czasie zalewu osadnictwa niemieckiego klasa samodzielnych rolników w

1) Knapp. Landarbeiter in Freiheit und Knechtschaft.

Polsce istniała (władcy). Klasa ta do dzisiaj utrzymująca się licznie na Mazowszu pod nazwą drobnej szlachty — społecznie była więcej warta od przychodzących rolników niemieckich, bo ci ostatni nabywali tylko pewnych praw do ziemi, a władcy byli rzeczywistymi właścicielami. Że rozwój miast, tego nietyle tworu niemieckiego, i dziedzictwa po rzymianach, należał do postępu społecznego, temu nikt nie myśli przeczyć, jednak możliwość zakładania miast na ziemiach polskich w XIII wieku dowodzi przedewszystkiem zróżnicowania stosunków społecznych, a również i pewnego zagęszczenia ludności.

Na str. 31 i nast. mamy niby uwzględnione warunki społeczne, oraz średniowieczny ustrój państwowy i kościelny; tu autor wygłasza: „w tym czasie w Polsce rycerz coraz bardziej narzuca swą władzę chłopu”. Pomijam, czy inaczej było w Niemczech, ale należy się zastanowić, że gdyby tak było, to na jakim żywiole w społeczeństwie mogliby się opierać Piastowie, gdy na olbrzymią skalę dokonywali osadnictwa tylko częściowo niemieckiego, a głównie swojskiego. Widocznie „rycerz jeszcze nie narzucał swej władzy chłopu”, a że stało się to w wiekach XVI i XVII, to przenoszenie faktu o 4—500 lat wcześniej, nie wzbudza zaufania do rozumowania i wniosków autora.

(DCN)

A. Sujkowski.



KARAICI i CMENTARZYSKO ICH.

Nie wielu jeszcze karaitów żyje w naszym kraju i nie wiele też pozostało i pozostanie po nich zabytków, świadczących o ich pobycie u nas. Dziwnie bowiem milczą sami o sobie, a i dokumenty historyczne nie wiele mogą o nich powiedzieć. To tylko jest w nauce ustalone, 1) iż nazwa ich hebrajska *karaim* pochodzi od słowa *kara*, oznaczającego „wyznawców pisma”. Już Tadeusz Czacki w rozprawie swej „O Żydach i Karaitach” powiada, że sporną jest kwestya, czy nazwę tę nadali oni sobie sami, czy też przeciwnie nienawiść raba-

nitów jest jego źródłem. Sekta ta bowiem w 8 w. po Chr. zerwała z tradycją rabaniczną i powróciła do ksiąg ustawodawstwa mojżeszowego, zorganizowana w początkach swych w Babilonii przez Anana syna Dawida. Z tego też powodu nosili oni początkowo nazwę ananitów, chociaż twierdzili sami o sobie, iż istnieli w Jerozolimie jeszcze za pierwszego kościoła i nazywali się zbiorem syna Jehudy, a później dopiero dla odróżnienia się od talmudystów nazwali się karaitami t. j. (zwolennikami, wyznawcami pisma). (Czacki. wyd. „Mrówki” str. 136)

Od zawiązków swych niezbyt liczni przebywali karaii do czasu wypraw krzyżowych stale w Pale-

1) Fürst. Geschichte des Karäertums. Leipzig 1865.



stynie, skąd dopiero po zajęciu Jerozolimy przenieśli się do Egiptu i Grecyi, a w części i do południowej Arabii, a stamtąd z czasem rozeszli się po wybrzeżu berberyjskiem i w Hiszpanii. Do Polski dostali się dzięki księciu Witoldowi, który z wyprawy swojej do Krymu sprowadził garstkę karaitów, osadzając ich w trzech miastach: w Trokach, Łucku i Haliczu. Historycznej pewności co do tego nie posiadamy wprawdzie, ale tradycja zachowana o tem najzupełniej zasługuje na wiarę. Pierwsze zaś wiadome przywileje posiadają karaici w Łucku od Zygmunta I, w Haliczu od Stefana Batorego, w Trokach od Kazimierza Jagiellończyka, który w 1441 r. nadaje im prawo magdeburskie i własnego wójta mianowanego z pośród nich przez wojewodę. W każdym razie osady, które otrzymały te przywileje, nie mogły być całkiem nowe, a najprawdopodobniej dawniejsze ich nadania zginęły bezpowrotnie tak dalece, iż kwestya czy karaici halicycy nie są przypadkiem potomkami przesiedleńców lwowskich z 1475 r., zostaje wskutek tego nierozstrzygnięta.

Wiadomości o karaitach lwowskich są nader urywkowe, podczas gdy dzieje gminy halickiej skreślił na podstawie istniejących dokumentów Rubin Fahn w czasopiśmie petersburskiem „Haketem” w r. 1909 ¹⁾. Najmniej zaś wiemy o trzeciej gminie karaickiej na Rusi Czerwonej w miasteczku Kukizowie, gdzie osadził ją w 1692 r. król Jan Sobieski. Dokument ten osadczy, wpisany w aktach grodzkich lwowskich tom 63. str. 1099 i tom 357 str. 1305, dany jest w Pomorzanych dnia 15 września 1692 r. i brzmi następująco: ²⁾

„Jan III. z Bożej łaski król polski, i t... chcąc aby w państwach naszych, jak najobfitsze zakwitnąć mogły osiadłości, skądby miasta i miasteczka incrementa swoje biorąc przestronną dobru pospolitemu pomoc i podpore przynosiły, umyśliłiśmy w dobrach naszych dziedzicznych, należących do Żółkwi, w miasteczku Kukizowie ab antiquo nazwanem a teraz upadłem, na nowo zawołać kolonię z ludu wszelkiego stanu i kondycyi, tak kupieckiego jak i rzemieślniczego, na którą, że się Żydzi Karaimowie, ludzie sprawni, handlowni, zabiegli i kupiectwem koni bawiący się na wygodę tych krajów ustawicznym niebez-

pieczeństwom podległych potrzebni, odezwali onych do pomienionej kolonii przyjąwszy i chcąc dalej zachęcić, takowe im łaski nasze i wolności deklarujemy: A n a p r z ó d osiadać będą tak ci, którzy teraz i którzy na potem przychodzić będą, na prawie magdeburskiem, które im jest zdawna w państwach naszych nadane od najjaśniejszych antecessorów naszych. P o t e m place na domy w mieście, na ogrody za miastem wydzielone i które dla przychodzących wydzielone będą, wiecznymi czasy według tego prawa magdeburskiego im i potomkom ich służyć mają. Żeby zaś regularnie i pod jedną miarę mogli się wybudować, dom jeden, kosztem skarbu naszego postawiony, niewiernemu wójtowi Abramowi Samuelowiczowi, wójtowi synagogi karaickiej, tymże prawem jak wyżej magdeburskiem oddajemy. Gdzie aby i bożnicę dla nabożeństwa swego mieli, urodzony administrator tameczny miejsce sposobne na postawienie onej pokazać i z osobna na okopisko pomarłych Żydów — Karaimów gruntu część wedle zwyczaju wydzielić będzie powinien. Łan także gruntu, nazwany C z o t o w s z c z y z n a jako jest w swoim ograniczeniu na tegoż wójta i innych pięć osób rozmierzony, z łakami i sianożęciami onym nadajemy, nadto wolności wszelkich, którekolwiek mogą być w handlach, kupiectwach i szynkach onych pozwalamy, bez wszelkiej na skarb nasz powinności do lat dziesięciu. Po wyjściu których, tak jako mieszczanie żółkiewscy powinni będą płacić i oddawać. A osobliwie do żadnych podatków, składek i kontrybucyi żydowskich rabinom należyć nigdy nie mają, tak jako i do sądów nigdy żadnym wymyślnym sposobem pociągani nie będą. Dla wygody zaś niewiernych pomienionych Karaimów jako i tych, którzy kiedykolwiek na tymże miejscu osiadać będą, pozwalamy na opał drzewa w lasach Kukizanowskich, a w Jaryczowskich tak suszu jako i leżącego drzewa; na budynki i domy wolność będą mieli wywozić drzewo z lasów Żółtanieckich za wiadomością jednak urodzonego administratora tamecznego, który powinien miarkować się w pozwoleniu swoim do człeka jako i budynku, więc i do arendy, prowentów Kukizowskich, jako i wsi wedle terażniejszego arendowania przed tymi z Rabinczykami, bliższych niewiernych Karaimów po wyjściu onej być sądzimy. Żeby zaś tem większe pomnożenie tej nowej kolonii, która odtąd nazywać się będzie¹⁾... być mógł z wygodą i pożytkiem

¹⁾ R. Fahn. Zur Geschichte der Karaiten in Galizien. Odb. Berlin 1910. — O karaitach halickich patrz także „Halyccko-istoryczeskij Sbornyk“ rozprawa p. t. „O Karaitach w Halyczy“ Tom II str. 176 i III str. 38. — Artykuł w „Przyjacielu domowym“ (Lwów 1872) nie mówi nic nowego, idąc za samym Czackim, podobnie jak H. Słupnicki w swoim opisie Galicyi.

²⁾ Cytowane za dra M. Bałabana artykułem „Do dziejów karaickich“. „Na ziemi naszej“ (dod. do „Kurjera lwowskiego“) 1910 str. 76—78.

¹⁾ W tem miejscu brak wyrazu; zdaje się, że nazwy do tego czasu nie wymyślono.

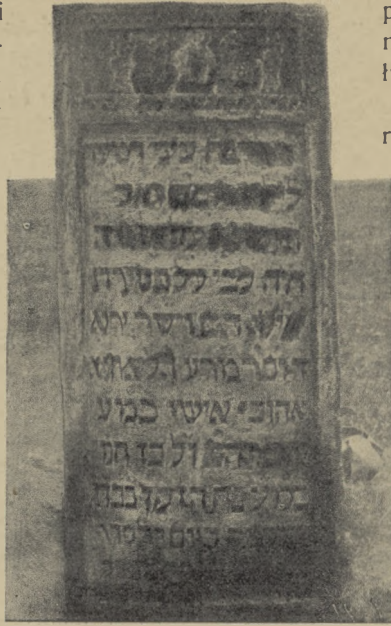
osiadających, naznaczamy targi dwa razy na tydzień: w poniedziałek i w czwartek, jarmarki dwa razy w rok: pierwszy odprawować się będzie w dzień św. Mikołaja ruskiego, drugi w dzień św. Jana Chrzyciela, na które wolno będzie do pomienionego miasteczka wszelkiego narodu ludziom i innego stanu kupcom przyjeżdżać, tamże towary odmieniać i kontrakty stanowić pod wolnością i bezpieczeństwem, prawem pospolitem, przyjeżdżającym i wyjeżdżającym na jarmarki warowanem. A co pomienieni Karaimowie produkowali nam prawo swoje od książęcia Witolda, a drugie od najjaśniejszych królów polskich, antecessorów naszych, jako nas samych, zawierające w sobie prawo magdeburskie i in-sze wolności, prerogatywy onym służące, tedy one we wszystkich punktach klauzulach, artykułach aprobujemy, aby byli wolni od cel, myt Rzeczpospolitej tak jako i w tamtych prawach są uwolnieni, oraz na tymże miejscu i tymże prawem się zaslaniali i szczyli, mieć chcemy i niniejszym przywilejem naszym nadajemy.

Co dla lepszej wiary i t. d.”

Dan w Pomorzanach i t. d.

Jan Król

Przywilej ten dał wpisać wójt karaicki do aktów grodzkich dopiero w r. 1723 i mniej więcej od tej też chwili zaczynają się dzieje gminy, zawsze jednak bardzo nielicznej. Wogóle liczba karaitów na Rusi i Litwie nie przechodziła nigdy kilku tysięcy, a według Czackiego wszystkich ich w XVII w. było 4430, w czem 2000 w Polsce. W ostatnim zaś spisie karaitów w r. 1790 było w Litwie i na Rusi—mężczyzn 2148; dodając równą liczbę kobiet, wypada liczba karaitów 4296 (Czacki str. 142). W 1870 r. liczbę wszystkich ich w Galicyi podaje Bened. Płoszczański około 250 dusz¹⁾. Według zaś ostatniego obliczenia z 1900 r. było ich w Galicyi razem stu sześćdziesięciu, osiadłych tylko w Haliczu i Załukwi. W Kuki-zowie bowiem, miasteczku położonem na półn. wschód niedaleko od Lwowa, przebywało kilka rodzin karaickich tylko czas krótki po 1831 r., poczem bardzo nieliczne młode pokolenie wyemigrowało,



NAGROBEK KARAICKI Z KUKIZOWA (1831 R.)

powiększając nieco liczbę karaickich mieszkańców Halicza i sąsiedniej Załukwi.

Okolo 140 lat zamieszkiwali karaici Kukizów i stosunkowo bardzo niedawno jeszcze przebywali tam, a mimo to dzisiaj i śladu prawie po nich nie zostało. W samym miasteczku ulica jedna, przy której stać miała bożnica, nosi jeszcze w tradycyi ludowej miano karaickiej, podobnie jak i „rynek karaicki”, miejsce dawnych targów. Nikt zaś nie może już wskazać choćby jednej tylko chaty, zamieszkałej kiedyś przez karaimów. Pamięć jednak o nich samych przetrwała dłużej od dzieł rąk ich pracowitych, potwierdzając w zupełności zdanie Tad. Czackiego, który powiada, iż ani jeden karaita nie był przez cztery wieki pobytu

w Polsce przekonany o jakąś zbrodni. Największe nagrody i postrachy nie wymogły na którymkolwiek z nich, aby był szpiegiem. Furmanki, drobny handel jest źródłem ich zarobku. Prócz handlu trudnią się i uprawą roli, mając w Haliczu nawet większe posiadłości.

Najczęściej strzygą włosy krótko, zapuszczając natomiast brody. Ze zwyczajów ich konserwatywnie przekazywanych z pokolenia na pokolenie, mało jest znanych, ponieważ niechętnie o tem rozprawiają z cudzym. Żaden karaita niemoże być obecny przy śmierci swego bliźniego; w przeciwnym zaś razie zmuszony jest do rytualnych oczyszczeń w kąpielach rzecznych. Zwyczaj ten nie pozwala im nawet przy śmierci najbliższego krewniaka pozostawać przy jego łożu, które chociażby wśród łez opuszczają, oddając opiekę nad konającym pierwszemu lepszemu żydowi talmudyście i wynagradzając go za to sownie. Po pogrzebie zmarłego oczyszczają starannie komnatę, w której on przebywał, zdzierają nawet tynk ściany, malowanej następnie na nowo.

Zwyczajami małżeńskimi różnią się karaici od talmudystów, bo kiedy u tych ostatnich zaręczyny odbywają się w bardzo młodym wieku, to u karaitów mają miejsce w znacznie późniejszych latach. Dla mężczyzny odpowiedni jest dopiero rok 30, dla niewiasty 20. Wesele odbywa się bez wystawnych ceremonii i to rano, przyczem prócz najbliższych i samych starszych nikt nie bywa proszony. W obecności tych gości młodzi przyklękają, a pan młody wygłasza słowa: „Panie i Boże! ja (imię) spodziewam się, że naręczona moja (imię) będzie dobrą i uczciwą żoną, a Twej miłości godną”.

¹⁾ Bened. Płoszczański j. Żydy-Karaity. Literaturny j Sbornyk. Lwów 1870, str. 105—116.

Na to zwyczajnie najstarszy z zebrania odpowiada: „takimi powinniście być oboje i wierności dotrzymać sobie do śmierci, a wówczas godni będziecie opieki i miłości Najwyższego”.

Ubodzy, ale pracowici, w pracy rąk szukają środków do życia. Wieśniacy, z którymi rozmawiałem o karaitach, mieszkających kiedyś w Kukizowie, wyrażali się o nich jako o dobrych i zapobiegliwych gospodarzach, którzy nie wglądając w obce sprawy, skrzętnie, pracowicie spełniali swe obowiązki, żyjąc w najlepszej zgodzie z sąsiadami.

Jedyną pamiątką po nich, wspomnianą w przytoczonym dokumencie osadczym, jest kawał gruntu położony w południowej stronie miasteczka, przy drodze z Jaryczowa starego; jest to część większego zapewne dawniej cmentarza, zwane przez ludność tamtejszą „karaimszczyzną”, albo „okopiskiem karaimskim”. Przed niespełna sześciu laty widziałem na cmentarzysku tem, położonem na nieznanym wzniesieniu po prawej stronie drogi z Jaryczowa, jeszcze około siedmiu płyt grobowych, po części bardzo zniszczonych i ku ziemi pochylonych. W maju zaś b. r. zastałem ich niestety tylko trzy i to jedną tylko z jako tako możliwym do odczytania napisem, kutym wkłęśło w piaskowcu. Dwumetrowej mniej więcej wysokości płyty te — podobne w zupełności do odfotografowanej (p. str. 5)—zwrócone są stroną, pokrytą napisami, dokładnie na północ i tem się tylko różnią między sobą, iż jedna ścięta jest u góry płasko, dwie zaś pozostałe łukowato.

Ta właśnie okoliczność, iż zwrócone są napisem ku północy, przyczyniła się przedewszystkiem do tego, iż bardzo prędko zniszczały i to tak dalece, że tylko na jednej z nich częściowo odczytać można wyryte epitafium. Dwie inne, jak również jedna leżąca tuż pod darnią, nie nadają się już niestety do odcyfrowania, i tylko na jednej z nich widoczna jest nieco wypukła rzeźba, przedstawiająca dwa lwy, podtrzymujące najprawdopodobniej koronę.

Na dopytywanie się moje, gdzie podziały się dawniej przezemnie widziane inne płyty, nie mogłem się dowiedzieć niczego, a domyślać się można, iż zużyto je do celów praktycznych przy budowie domów. Bardzo zaś możliwe — o czem zresztą mówią ludzie — iż nie mało ich kryje się przed oczyma, zapadniętych w ziemię i zarosłych trawą, jak jedna całkiem widoczna prawie na powierzchni ziemi.

Dołączona fotografia przedstawia właśnie jedną najlepiej zachowaną płytę grobową z długim napisem hebrajskim. U góry w prostokątnym obramowaniu, składającym się z czterech pasków ząbkowanych, widać pośrodku koronę z dwoma jakby pastorałami, po obu bokach której widać dłonie z palcami po dwa rozłożonymi w kształcie litery V; między zaś jedną dłonią a drugą i koroną pośrodku, widać po dwie małe gwiazdeczki, kute jak

cały rysunek wypukło w kamieniu. Poniżej tej rzeźby, oznaczającej przynależność zmarłego do pokolenia kapłanów, ciągnie się w dwunastu rzędkach hebrajski napis, który o ile się to dało odczytać z niezupełnie dobrze zachowanych niektórych części, w tłumaczeniu brzmi następująco:¹⁾

Niechaj płyną oczy moje łzą
. samotnie i oby nie

Boleje serce moje z powodu zgonu męża uczciwego i prawego, bogobojnego, który unikał złego. Przecież on kochany mój mąż, cześć jego pełna jest światła, Abraham św. p. syn mego teścia, cześć jego pełna jest światła, Noego B(a)b(a)t, który ²⁾ zeszedł dnia 3. Sedry Debarim B. na początku miesiącach o Menachem Roku 591 liprat³⁾ katan⁴⁾.

Z napisu tego wynika, iż żona po zmarłym mężu, nazwanym tu synem teścia,—Abrahamie synu Noego Babat—postawiła ten pomnik 1831 r. według naszej chronologii, wyrażając poetycznym stylem ksiąg świętych żal swój z powodu straty zacnego małżonka. Zwłaszcza nadzwyczaj pięknie a jednak prostym sposobem oddany jest ból i cierpienie po utracie drogiej osoby w patetycznym wykrzykniku nieukozonej w żalu wdowy. „Przecież to mój mąż, ów bogobojny, cnotliwy człowiek, którego mię nieubłagana śmierć pozbawiła!” woła w pogrzebowem zawodzeniu łzami zalana, opuszczona przez zmarłego kobieta. Jego, który słynął z cnót swoich i prawości, oplakuje i oplakiwać będzie, boć on jej najdroższym był mężem i przyjacielem.

Kto był jednak ten Abraham syn Noego, o tem nie dowiadujemy się z długiego epitafium i to zostanie najprawdopodobniej tajemnicą zmarłego, spoczywającego snem wiecznym, przerywanym chyba modłami pamiętających o zmarłym współwyznawców

1) W odczytaniu i poprawnem przełożeniu napisu na polskie pomocny mi był łaskawie, dobry hebraista, a przyjaciel mój p. Ad. Arct.

2) Abraham.

3) Karaici, jak i żydzi, liczą czas swój od stworzenia świata i liczą obecnie od września 5671 r. Jeżeli w piśmie hebrajskiem oznaczony jest wiek w ten sposób, że wymienione są i tysiące, to oznaczenie to nazywają „liczbą wielką“. Jeżeli zaś opuszczone są tysiące, a podane tylko setki, dziesiątki i jednostki wtedy nazywają „liczbą małą“ (liprat katan). Ostatni sposób jest ogólnie używany, przyczem przy końcu zdania, w którym znajdują się litery oznaczające datę, dodana jest uwaga „liczbą małą“.

4) Znaki interpunktacyi dodane dla lepszego zrozumienia rzeczy.

halickich. Co roku bowiem w jesieni zjeżdżają tu starzy, siwym włosem okryci potomkowie karaitów kukizowskich z Halicza i na uroczystych modłach za zbawienie dusz zmarłych spędzają dzień cały na pustych grobach, targanych wiatrami i sieczonych

deszczami. Natura, a jeszcze bardziej złośliwa ręka świętokradcy skutecznie niszczą owe czcigodne świadki przeszłości, którą jakby umyślnie uparcie i doszczętnie starają się zatrzeć i ukryć przed przyszłymi pokoleniami.

B. Janusz.

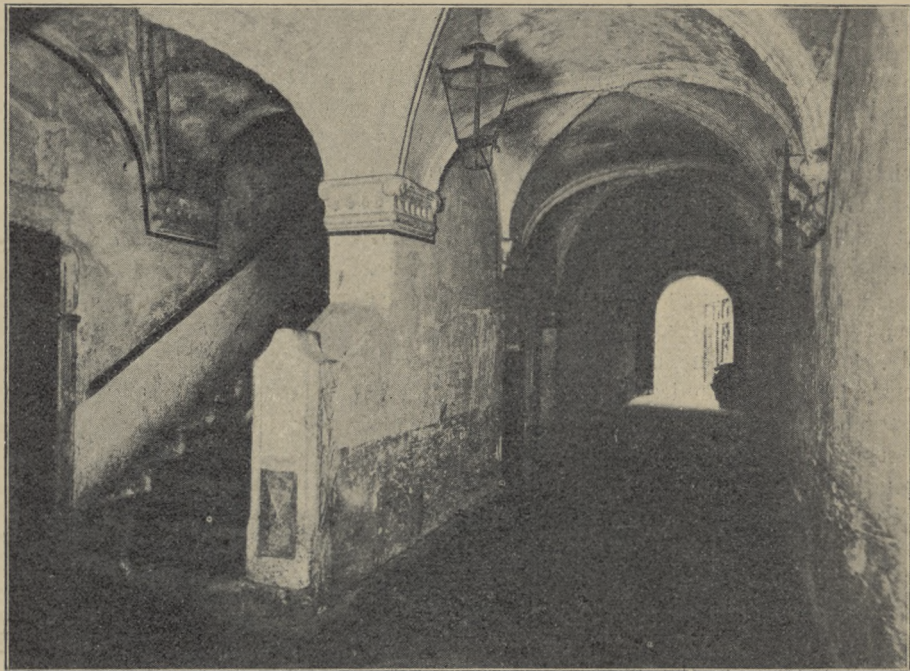


KAMIENICA BARYCZKÓW W WARSZAWIE.

Jeśli nie najpiękniejszą to najwięcej z rycin i fotografii znaną stroną rynku Starej Warszawy jest jego połać północna, niegdyś zwana też miejską, że ku N o w e m u M i a s t u była zwrócona. W niej trzecia od Krzywego Koła mieści się niepozorna dziś, obdarta i splugawiona kamienica Baryczków ¹⁾. Świadczy o tem równie dobrze umieszczony nad furtką wejściową herb „Baryczka” (krzyż podwójny z dwiema podpórkami) jak i kamienna tablica erekcyjna do dziś dnia tkwiąca w murze, choć w niej czas stał już niemal doszczętnie litery, jak stał w pamięci ludzkiej imię możnej niegdyś i głośniejszej rodziny.

Taka jaką jest dzisiaj, jest niestety jedną z niechlujniejszych i bardziej zniszczonych w szeregu swoich rówieśnic, co przecież na Starem Mieście w Warszawie po tylu pogromach i wandalizmach, poprawkach i kradzieżach mówi немало. Według opo-

wiadań jej długoletnich mieszkańców nie tak dawno jeszcze zginęły jakieś posągi, szczyt domu wieńczące które się niewiadomo gdzie i przy jakiej okazji podziały. Wnętrza izb zbanalizowane, odarte ze wszystkiego, co mogło mieć wartość i co niewątpliwie w



SIEŃ DOMU BARYCZKÓW

fol. St. Thugutt

siedzibie możnego rodu mieszczan warszawskich istniało. Z rzeczy drobniejszych, fragmentów, które cudem ocalały, zachował się tylko stary dzwonek od furty w podwórzu, o który już zresztą niejedno-

¹⁾ Nr. hyp. 54 pol. 32.



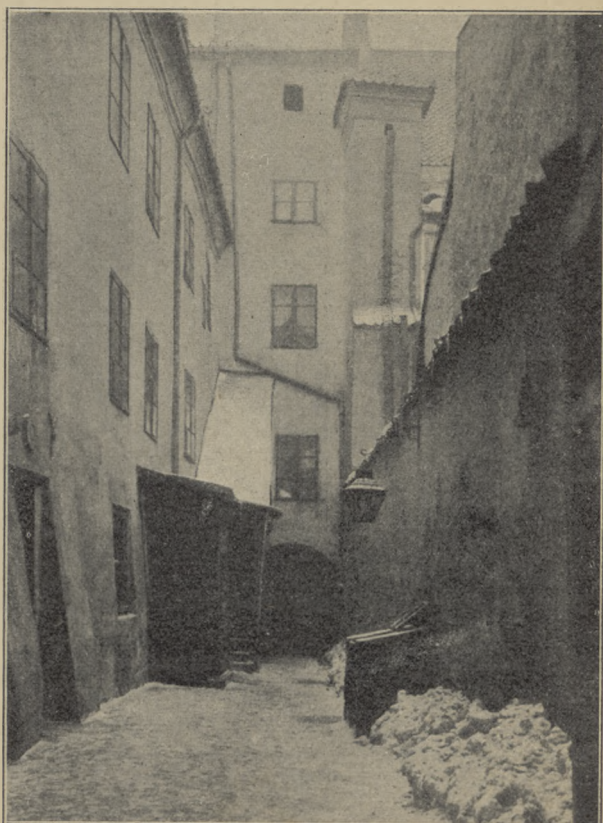
SZCZYTY DOMÓW STAREGO MIASTA

z dachu kamienicy Baryczków

krotnie robiono zakusy, staroświecka latarnia olejna i stare, starsze od samych murów, drzwi żelazne przy wejściu na schody kamienne z wykutą na nich datą—1562. Czy drzwi te pochodzą ze stojącej uprzednio na tym samym miejscu kamienicy, czy wzięte były z innej, sąsiedniej, próżnoby dziś wobec braku wszelkich wskazówek dochodzić.

Piękniejsze ponad drzwi, które zresztą chyba się tylko sędziwą starością wyróżniają, są schody. Stare, zniszczone, obślizgłe od brudu i zużycia, sztukowane, zamieniane częściowo — i takie pomimo wszystko piękne, takie w swoim opuszczeniu żebaczem jeszcze żywe. O tych schodach z innej okazji i dla ilustracji innych niemniej żalosnych prawd pisała już „Ziemia” akurat rok temu, i tam też umieszczona była ich podobizna fotograficzna. Odsyłając przeto ciekawych do wzmianki dawniejszej, a tych, którzy mieszkają w Warszawie, na samo miejsce, stwierdzić można tylko z ubolewaniem, że jest to jeden z typowych zabytków sztuki budowlanej w Warszawie, typowy tak dobrze pod względem pięknego pomysłu, jak i zaniedbania oraz zapomnienia, które go razem z wielu innymi gwałtem na śmietnik spychają.

Mogłoby być zaiste inaczej. Niema przecież mowy i tego żaden z najzagorzalszych fanatyków nie wymaga, aby doprowadzać tę czy



PODWÓRKO DOMU BARYCZKÓW

fol. H. Unruh



fol. J. Jaroszyński

SZCZYTY DOMÓW STAREGO MIASTA




fol. H. Unruh

DACH DOMU BARYCZKÓW.

wiele innych kamienic warszawskich do ich stanu pierwotnego. Po pierwsze dlatego, że o tym stanie wobec braku rycin, opisów i inwentarzy współczesnych, nieistniejących czy nieznanych—możemy mieć szczupłe tylko i kto zaręczy czy nie fałszywe pojęcie, a powtóre, że skoroby się u nas do ratowania starych zabytków naprawdę zabrano, nie te, bądź co bądź skromne i ciasne kamieniczki mieszczań warszawskich, będą stały pierwsze w szeregu. Ale przecie gdyby to oczyścić, gdyby zdjąć z tego warstwę ohydnie plugawego brudu i wzgardy, jakie się na nie leją niezastudzenie! Być może, że nawet to co jest, co ocalało, wywołałoby inne wrażenie, przemówiłoby jeśli nie pełniejszym, to czystszy dźwiękiem, rozdarłoby jak błyskawica bielmo doskonałej obojętności, z którą zwiedza się „stare rudery”.

Proszę tylko spojrzeć na tą niezwyklej w tych okolicach szerokości sień wchodową, na jej lekkie i śmiało sklepienie, na kamienną balustradę schodów przechodzącą we wspornik, podtrzymujący i zlewający się z tem sklepieniem. To doprawdy nie jest pamiątka po „kupczykach” kramarzących pieprzeni czy sukniem, to jest raczej istotnie wspomnienie obywateli „rzeczypospolitej warszawskiej”, ludzi, którzy wypełniali sobą swe domy, jak żeby one stanowiły



organiczne dopełnienie ich szerokiej natury, postaci ze starych portretów, które się ubierały w kunsztownie stawiane domy, jak się ubierały w delie zarzucane z fantazyą na barki.

Tak, ta sień jest warta Baryczków. Dla niezdzięknej pamięci współczesnej Warszawy jest to dźwięk pusty bezinała, jak gdyby rodzina, która tę nazwę nosiła, nie rozkwitła, nie doszła do szczytu sławy i potęgi tu właśnie na rodzimym podłożu warszawskim. Nie tu miejsce na dociekanie, kim i czym byli Baryczkowie, a choćby i tu było miejsce — innego to bieglejszego pióra będzie zadaniem. Odsyłając ciekawych do przyszłych kodeksów warszawskich, które niejedną zapewne wypełnią lukę w naszym ubogim stanie wiadomości o patrycyacie warszawskim, a wskazując niecierpliwym prace pp. Korotyńskiego, Gomulickiego i Kraushara, poprzestańmy na zaznaczeniu, że i ten, komu kamienica nasza zawdzięcza swój wygląd dzisiejszy — Wojciech Baryczka — nie był jednym z szarego tłumu. Ten mieszczanin warszawski, który już pod Strygonią odznacza się w harcach przeciw Turkom tak chwalebnie, że go za to cesarz Rudolf II nobilituje, który potem w pierwszej potrzebie smoleńskiej i pod Kircholmem bardziej o sławę zabiega, niżli ucieka przed śmiercią, koniuszy i sekretarz Zygmunta III i Władysława IV, rajca warszawski, szafarz królewski i dzierżawca ujazdowski, przykuwa mimowoli naszą uwagę; tembardziej, że nie jest to żaden „szot” ani „olender” ale od wielu pokoleń dziecko odsuniętego od świata Mazowsza i jego niegłośnej stolicy, kość z kości naszej, z siebie i swoich wszystko czerpiące. Bezsprzecznie to, co go tak pchało naprzód, tak nosiło po świecie, to poczucie własnej, kondensowanej przez pokolenia wartości. Niedarmo był synem Stanisława Baryczki, który oskarżony jako dzierżawca wsi Kamienia w pobliżu Saskiej Kępy (wówczas Kawczej) o kradzież chrustu odzywał się w swojej protestacji „znają ludie przodki moje y mnie... niebardzobyń panem urosł z chrustu kempianego, iest lasów innych dosyć około Kamiona”... trzeba pomnieć y na miłe potomstwo swoje”. Dziw, że nie wspomniał o dostatkach swoich w samej Warszawie, które musiały być przecież niemałe, kiedy całej jednej ulicy miano „Baryczkowskiej” nadano.¹⁾

¹⁾ Ulica ta, dziś już nie istniejąca, szła od Wązkiego Dunaju do tyłów ulicy Piwnej; początkowo zwa-

Głośni byli i bracia p. Wojciecha. Jeden, Stanisław, również sekretarz Zygmunta i Władysława, podróżnik, lingwista, doradca cesarza Ferdynanda II, pap. Klemensa VIII, towarzysz wypraw Żótkiewskiego, filantrop i szczęśliwy — narówni z Wojciechem — posiadacz nagrobka u Fary, do której ich pradziad Jerzy przywiózł z Norymbergi cudownego Pana Jezusa. Drugi, Jacek, jeden z dobrodziejów i dostojników klasztoru dominikańskiego w Warszawie, na którego korytarzach stoi do dziś dnia piękne jego popiersie. Synem Wojciecha znowu był Stanisław „owiesny J. Kr. Mości”, jeden już z ostatnich z rodziny, która bądź co bądź za czasów najazdu szwedzkiego posiadała 14 posiadłości w Warszawie, z tych cztery w samym rynku i to całkiem niepośledniej wartości. Ten to Stanisław za usługi wojenne przeciw kozakom i szwedom nobilitowany był wraz z braćmi Wojciechem i Janem r. 1658, a w sześć lat później został podstolim czerniechowskim; nagrobek ma u dominikanów.

Wobec Baryczków, ci co już później kamienicę mieli w swym ręku, to już ludzie pomniejsi²⁾). To też dopóki stać będzie, z ich tylko nazwiskiem będzie związana, jak i dziś im wszystko jest wdzięczna.

Jeszcze jedno słówko do tych, którzy oglądają ją będą. Kto ma nogi całkiem zdrowe i nie obawia się zawrotu głowy, niech wejdzie na dach. Rzecz to jest może nie pozbawiona znaczenia, że stamtąd dopiero, z zawrotnej wysokości strzelistych kamienic warszawskich, ocenia się ich cały wdźwięk, fantazyę i charakter. Przed sobą ma się prześliczną, smukłą wieżycę pijarską, zwykle poza domy poblizkie schowaną, i arcyciekawą łamaną linię dachów strony „wschodowej” czyli „prawej”; z tyłu dźwigają się potężne mury klasztoru i kościoła św. Jacka i całe rozfalowane morze szczytów, wieżyczek, kominów.

Kto tak wysoko piąć się nie chce, niechaj wejdzie choćby na schody tylnej oficyny domu Baryczków. I ten widok na tyły sąsiednich kamienic nie jest pozbawiony całkiem swoistego uroku.

St. Th.

na „Żydowską” lub „Abrahamowską”, nazwę „Baryczkowskiej” zachowała do r. 1765. Była też właściwie osobliwą łaską królewską jurydyką Baryczków od 1619 r.

²⁾ W w. XVIII ormiańska rodzina kupiecka Minasowiczów.



MYSZYNIC.

Rdzenny gród kurpiowski, obok podobnych lecz malowniczo położonych: Nowogrodu i Ostrołęki, Myszyńiec zajął niewybredne miejsce na piaskach między błotami i moczarami nad rzeką Rozogą, prawym dopływem Narwi.

Myszyńiec s t a r y jest to wieś, leżąca nad rzeką Rozogą i wchodząca w skład Myszyńca N o w e g o — osady, należącej do powiatu ostrołęckiego gub. łomżyńskiej. Oddalony od posterunku pogranicznego Dąbrowy o 5 wiorst, Myszyńiec uprawiał dawniej rozległy przemysł i handel, przeważnie płótnem, bursztynem, skórami i trzodą chlewną.

Samą osadę zapoczątkowali jezuita, którzy na mocy przywileju Jana Kazimierza z r. 1654 wystawili tu kaplicę, a nawet zamierzali budować klasztor, co jednak nie doszło do skutku. Postawiono tylko wówczas ogromną dzwonnice z czerwonej cegły, która do dziś dnia istnieje i należy do najpierwszych budynków murowanych na Kurpiach.

Przy wybudowanej kaplicy kolegium jezuita łomżyńskie osadziło dwóch księży dla odprawiania misy wśród na pół dzikiej, leśnej ludności puszczy. Stąd też osadę początkowo nazywano Misyą myszyńską, a nawet Jezupolem. Jan III potwierdzając przywilej dawniejszy dozwolił jednocześnie jezuitom wykarczować 3 włóki lasu, wystawić szkołę, karczmę i browar. Podczas jednak walki ze szwedami, którzy tu ponieśli porażkę od kurpiów, spłonęła część miasta, a także i kościółek, na miejsce którego Jan Koss, starosta ostrołęcki, wystawił z drzewa w 1716 r. nowy obszerny kościół istniejący do 1909 r. Obecnie kościół ten jest zburzony i rozpoczęto budowę nowego murowanego na wzór ś. Floryana na Pradze w Warszawie.

Przy kościele i zakładach czyli obok tego „Jezupola” zaczęła się tworzyć osada kościelna, której August II w 1719 r. dał przywilej na jarmarki i targi niedzielne. Obok tej osady kościelnej, jezuita, starostowie ostrołęccy założyli osadę świecką Myszyńiec Nowy czyli M a r t u n y (od Martuna, rusina, który tu osiadł po wojnie szwedzkiej i pędził smołę). Do tej osady przeniesiono z czasem targi i jarmarki po kasacy jezuitów, i wtedy to (1774 r.) kościół misyjny zamieniono na parafię, na której uposażenie król oddał fundusze misji.

Myszyńiec rozwijał się powoli. W r. 1789 było tu 23 gospodarzy i drugie tyle różnych rzemieślników. Obecnie posiada 188 domów i około 4 tys. mieszkańców, w czym połowa żydów. Na miejscu jest parafia i urząd gminny, w skład której wchodzi

12 wiosek. Jest też w miasteczku sąd gminny (przeniesiony z Kadzidla) kasa gminna, spółka spożywcza, apteka, poczta i telegraf, komora celna w Dąbrowach i biuro Zarządu Leśnictwa myszyńskiego.

Z pamiątek historycznych góruje nad miasteczkiem owa dzwonnica jezuita, która o mało co nie padła ofiarą niekulturalności przy rozpoczęciu budowy nowego kościoła i ocalała tylko dzięki energicznym staraniom członka korespondenta Polsk. T-wa Krajoznawczego, p. Teplickiego, miejscowego aptekarza. W pamiątkowej tej dzwonnicy na uwagę zasługują „kuny” czyli obroże żelazne wmurowane na łańcuchach przy wejściu do bramy. Kuny te zakładano na szyję i zamykano na kłódki różnym




KUNA W MYSZYŃCU

fol. A. Chętnik.

przestępcom, którzy pod takim pręgierzem w dni świąteczne odpokutowywali za swe winy prawdziwe a czasem i urojone, stając się pośmiewiskiem gawiedzi. Nazwa kun pochodzi prawdopodobnie od podobnych zupełnie przyrządów do łowienia zwierząt tej samej nazwy.

O wiorstę od Myszyńca pod borem między łąkami jest słynny „Kopański Most”, gdzie to niegdyś Kurpiki szwedom skórę prali. Jest też w pobliżu mogiła z 1863 r.

Do Myszyńca prowadzą nieznośnie piaszczyste i nadzwyczaj szerokie gościńce, chociaż sama osada jest dosyć przyzwoicie wybrukowana i oświetlona lampami żarowymi. W okolicy przeważają łąki, gruntów ornych jest niewiele, a i te są chude, przeważnie żytynie. Ogrodów owocowych niema, a z drzew najpo-



spolitsze są: sosna, świerk i brzoza. Gdzieniedzie stoją przed chałupami grusze leśne.

Wsie pod Myszyńcem, jak i na całych Kurpiach, są ogromne: po sto i po paręset domów. Domy drewniane, kryte słomą i zwrócone szczytami do gościńca. Szczyty te zawsze prawie są ozdobnie robione i zakończone różnego rodzaju wyrzynaniami z desek lub dogóry zwróconymi ostrzami—rogami, które tu noszą nazwę „śparogów”. Między takimi „śparogami” sterczy zwykle jakieś drewniane ostrze, słupek rzeźbiony lub krzyż, czasem fantastyczny. Zdobione są też w różne nacięcia belki pod szczytami i drzwi, z których niejedne spotyka się na wzór zakopiańskich ze wschodzącym słońcem w górnej części. W mieszkaniu ściany przyozdabiane są często w różne palmy z kwiatów papierowych i wycinanki, robione misternie z kolorowego papieru przez młode kurpianki często tylko nożyczkami od strzyżenia owiec.

Ludowe ubiory kurpiowskie w okolicach Myszyńca i sąsiedniego Kadzidla zachowały się dobrze, szczególnie u kobiet. Ubiór ich stanowi spódnica, przeważnie w czerwone i żółte pasy, z białymi, czarnymi i zielonymi prążkami. Każda wieś ma odrębny nieco sposób układania barw, a wprawne kurpianki poznają nawet po tem, z jakiej która jest wsi. Na plecach i na przodzie noszą fartuchy w podobne pasy, na głowie zaś chustki związane w tyle, czarne lub białe w żółte kwiaty. Wogóle w ubraniu przeważa kolor żółty z czerwonym, gdy tymczasem w budownictwie okna, drzwi, krzyże drewniane malowane są najczęściej na niebiesko. Mężczyźni noszą się przeważnie z niemiecka w kurtkach i kaszkietach.

Oświata w tych stronach stoi nisko. Na całą ogromną gminę myszyńską jest tylko jedna szkoła, wskutek więc ciemnoty i dobrobyt mieszkańców jest nie do pozazdroszczenia. Pieniądze, o ile je kto posiada, pochodzą z Ameryki, dokąd emigruje prawie cała młodzież.

I przemysł niebardzo tu kwitnie. W niektórych wioskach pod Myszyńcem kobiety trudnią się wyrobem płótna i słynnych kilimów kurpiowskich. Inni czerpią dochód z jagód i grzybów. Myśliwstwo i rybołówstwo nie istnieje wobec braku zwierzyny i ryb, upadające zaś pszczelnictwo dźwiga się tylko tam, gdzie hodowlę zaczęto prowadzić podług nowego systemu ramowego. Dawniej w okolicach leśnych kopano bursztyn, którym prowadzono rozległy handel, jako też wyrabiano z niego różne przedmioty w Myszyńcu i Ostrołęce. Bursztyn kopano w ziemi w lasach sosnowych, czem trudnili się specjaliści—kurpie, umiejący po gruncie rozpoznawać miejsce, w które można sięgnąć łopatą po drogocenną bryłę. Obe-

nie z rozporządzenia władzy niewolno w lasach eksploatować bursztynu i odnajdują go tylko przypadkowo nad brzegami Narwi, gdzie fale wyrzucają na ląd czasem spore grudki.

Wioski pod Myszyńcem mają takie nazwy jak: Wykrot, Wydmusy (na piaskach), Charciabałda, Bełk. Są też wsie Drężki i Gadomskie z mieszkańcami tejże nazwy. Jest też pod Myszyńcem we wsiach Klimkach, Charciabałdzie i Bandysiach kilka miejsc, przeważnie pastwisk i polan, zwanych przez ludność Taborami. O kilka mil od Myszyńca pod Nowogrodem jest nawet wieś Tabory. Kurpie mówią, że nazwy te powstały za wojen szwedzkich i napoleońskich, gdy mężczyźni wyruszali zwykle na wojnę a dla bezpieczeństwa uprowadzali swe rodziny na polany leśne niedostępne dla obcych gości; powstałe stąd wówczas nazwy „taborów“ przetrwały jakoby po dziś dzień.

W wielu też wioskach są ludzie, których wszyscy bez wyjątku nazywają „ścibkami” pomimo istnienia innego właściwego ich nazwiska. Według opowiadań, nazwa „ścibek” powstała stąd, że gdy kurpie siedzieli w swych osadach leśnych, często zbiegali w ich puszcę różni ludzie „nie swoi”, czasem przestępcy, kiedyindziej szukający swobody zbiegowie. Ludzie ci, nie mając własnych siedzib, „wścibiali” się między kurpi i z czasem pozostawali na zawsze. Przyłgnęła do nich nazwa „ścibka” stanowiąca wprawdzie tylko dodatek do ich właściwego nazwiska, ale częściej niż to ostatnie używana.

Kadzidlacy z pod Ostrołęki nazywają mieszkańców Myszyńca pogardliwie „Jonami” (Jon—Jan, imię męskie). Na zapytanie, dlaczego tak ich zowią, mówią: „bo to są prostoki”(prostaki)

Cała okolica Myszyńca i wogóle cała puszcza kurpiowska jest bogatym materiałem dla etnografa, bądź w budownictwie lub zdobnictwie, bądź w badaniu folkloru. Ale z pracą tą spieszyć się trzeba, czas bowiem z jednej strony, a cywilizacja wraz z masowem wychodźstwem zagranicę z drugiej robią co rok poważne szczyby w tej mało jeszcze zbadanej, nawiasem mówiąc tak ładnej i pełnej uroku okolicy, która w pewnych ramach zachowuje cechy prawdziwej starej puszczy wraz z jej przeszłą kulturą.

Bo te wioski rozwlekłe i bory szumiące, te piaszki sypkie i błota grzązkie, „piekielkami” zwane, stanowiły dawniej twierdzę naturalną i broniły wstępu wszelkim nowym zakusom. Potrafią one i dziś do nas przemówić tym językiem, co przed paruset laty, gdy wolny i niezależny lud kurpiowski strzelał jelenie i żubry, działał barcie i żył szczęśliwy w budach leśnych.

Adam Chętnik.

O prowadzeniu spostrzeżeń fenologicznych.

I. Co to jest fenologia?

Do zakresu wszechstronnych poszukiwań nad fizyografią kraju należy również poznanie jego właściwości klimatycznych, oparte nie tylko na starannej obserwacji wszelkich zjawisk powietrznych, ale także na zapisywaniu zjawisk peryodycznych w przyrodzie ożywionej i wykryciu praw, rządzących ich postępowaniem i następnością. Badaniem tych ostatnich zagadnień zajmuje się oddzielna umiejętność, zwana *fenologią* (po grecku — nauka o zjawiskach). Zazwyczaj przedmiotem spostrzeżeń fenologicznych jest świat roślinny, a zwłaszcza niektóre okresy jego rozwoju (rozwijanie się liści, listkowanie i opadanie liści), chociaż i zjawiska w świecie zwierząt, a nawet w przyrodzie martwej (np. zamarzanie i puszczanie rzek, tajanie śniegu i t. p.) nie powinny być pomijane.

Wartość spostrzeżeń fenologicznych polega na tem, że, zajmując się zjawiskami peryodycznymi u roślin, warunkowanymi w pierwszym rzędzie współdziałaniem rozlicznych czynników klimatycznych, przyczyniają się w znacznym stopniu do pogładowego i dosadnego scharakteryzowania klimatu. Dlatego też spostrzeżenia fenologiczne są ważnym i koniecznym uzupełnieniem danych klimatologicznych i przez żadną stacyę meteorologiczną nie powinny być zaniebdywane, tembardziej, że nie wymagają żadnych narzędzi. Należy się więc spodziewać, że i stacje deszczowe, zakładane przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, nie zapomną o spostrzeżeniach fenologicznych, dosyć u nas zaniebdanych. W tym właśnie celu została opracowana niniejsza instrukcja, poprzedzona omówieniem zasadniczych podstaw fenologii roślinnej.

Spostrzeżenia fenologiczne są bardzo dawne. W odległej już starożytności układano kalendarze florystyczne, gdzie skrętnie zapisywano ważniejsze daty rozwoju roślin, zwłaszcza uprawnych. Wartość naukową i praktyczną tego rodzaju spostrzeżeń ocenił, zdaje się, dopiero *Adanson*, botanik francuski z XVIII w., a za nim *Duhamel*; działalność tych dwóch badaczy była jednak odosobniona i bez większego znaczenia, a za twórcę fenologii dzisiejszej należy uważać wielkiego botanika szwedzkiego *Linneusza*. Opierając się na gruntownej analizie roczników gleboznawczych i geograficznych, mogących wywierać pewien wpływ na rośliny, *Linneusz* próbował wykryć ścisły związek funkcjonalny pomiędzy czasem występowania rozmaitych faz rozwojowych rośliny a klimatem ¹⁾.

Z wielkim taktem zwraca on uwagę na te okresy życiowe rośliny, które szczególnie nadają się do spostrzeżeń fenologicznych i wskazuje na konieczność systematycznych poszukiwań w tym kierunku; zdaniem jego, należy sporządzać co rok kalendarze florystyczne, które będą zarazem obrazem różnorodności klimatycznej poszczególnych miejscowości. Również i myśl map fenologicznych nie była mu obca. Jasne i przystępne sformułowanie zasad fenologii przez *Linneusza* zachęciło do prowadzenia spostrzeżeń fenologicznych najprzód w ojczyźnie wielkiego przyrodnika, a później i w innych krajach. Zwłaszcza w Finlandyi, gdzie najpierw całą sprawą zajmował się matematyk *Hallström*, już w r. 1786 *Instander* wystąpił z kalendarzem fenologicznym; od tego czasu ta część Skandynawii stała się klasyczną krainą fenologii. *Moberg* opracował olbrzymi materiał, gromadzony w Finlandyi przez 100 lat z górą; obecnie istnieje tam około 100 stacyi fenologicznych.

Właściwy jednak początek fenologii w Europie zachodniej datuje się od *Queteleta*, znakomitego fizyka w Brukselli, który idee *Linneusza* potrafił przedstawić w formie możliwej do urzeczywistnienia. Wychodząc z założenia, że tylko spostrzeżenia prowadzone według jednego planu, a więc dające się porównać, mogą mieć wartość, opracował szczegółową instrukcję ¹⁾ zawierającą praktyczne przepisy co do badania zjawisk peryodycznych w przyrodzie w ogólności i w świecie roślinnym w szczególności. W tym samym czasie wielkie zasługi na polu fenologii położył meteorolog austriacki *Fritsch*. Metodycznie ważną z jego prac było zestawienie spostrzeżeń z 28 miejscowości, gdzie krytycznie przejrzał wszystkie rośliny nadające się do spostrzeżeń i bliżej określił odnośne zjawiska; t. np. podług niego listkowanie drzew tylko wtedy notujemy, gdy powierzchnia choć jednego liścia jest widoczna, stanowiska roślin badanych powinny być jednakowe i t. p. Największą jednak część rozprawy traktuje o teorii t. zw. stałych termicznych wegetacyi, którą uważano zwykle za istotną część fenologii.

Fenolodzy ówczesni wyrobili sobie dziwny pogląd, jakoby inożna było każde stadium rozwoju rośliny przedstawić w postaci algebraicznego wyrażenia jako funkcji niektórych z zewnątrz działających czynników. Podobnie jak alchemicy średniowieczni, poszukujący kamienia filozoficznego i recept na wyrabianie złota, tak i fenolodzy starali

¹⁾ *Linneusz*. *Philosophia botanica*. Stockholm 1751, str. 263.

¹⁾ *Quetelet*. *Instructions pour l'observation des phénomènes periodiques*. Bruksella, 1842.

się wynaleźć jakąś formułę, któraby pozwoliła z matematyczną ścisłością oznaczyć występowanie żądanej fazy rozwojowej rośliny.

Fizjologia poucza, że ciepło odgrywa bardzo ważną rolę w życiu rośliny¹⁾ i że każda roślina od pierwszych chwil życia do normalnego wykształcenia potrzebuje pewnej ilości ciepła; brak ciepła powoduje zniekształcenie, jak to daje się zauważyć u roślin alpejskich i podbiegunowych. Z tego słusznego założenia wyciągnięto zupełnie fałszywy wniosek, że ilość ciepła, potrzebna, aby u danej rośliny wystąpiło pewne stadyum rozwojowe, jest wartością charakterystyczną, niezmienną dla tej rośliny, czyli że każda roślina posiada tak zwane „stałe termiczne”. Zapomniano, że na roślinę działają rozliczne czynniki zewnętrzne i wewnętrzne jak: bezpośrednie ciepło promieni słonecznych, ciepło powietrza w miejscach zacienionych, ciepło gruntu, światło jako takie, wilgoć powietrza i podłoża, właściwości chemiczne i fizyczne gleby, wreszcie wewnętrzna organizacja gatunku, przeznaczona mu dziedzicznie; całokształt tych wszystkich czynników, kombinujących się w najrozmaitszy sposób, warunkuje dopiero prawidłowy przebieg czynności życiowych organizmu. Z tem wszystkim łączy się jeszcze fizjologiczna zdolność przystosowania do warunków otoczenia, właściwa każdemu organizmowi i rozwinięta u rozmaitych gatunków w rozmaitym stopniu. W takiej możliwości przystosowania tkwi ta właściwość rośliny, że wraz ze zmianą warunków klimatycznych zmieniają się jej wymagania względem ciepła. Brzozy z Nordkapu pokrywają się liśćmi w temperaturach znacznie niższych niż u nas i do dalszego rozwoju potrzebują znacznie mniej ciepła i czasu; buki na wyspach Kanaryjskich zrzucają liście w takich temperaturach, gdy nasze stoją w pełni swej zielonej szaty. Na każdym więc stanowisku roślina posiada inne potrzeby względem ciepła i wątpliwe jest, czy się kiedykolwiek uda zastosować peryodyczne przejawy życiowe rośliny jako dostateczną skalę temperatury. Te łatwo zrozumiane dane ekologii roślinnej nie odstraszyły jednakże wielu botaników od poszukiwania jakiegoś ścisłego związku pomiędzy występowaniem pewnych faz rozwojowych roślin a poprzedzającymi stosunkami cieplnymi atmosfery.

Aby otrzymać stałe termiczne wegetacyi, agronom francuski Boussingault, a za nim Fritsch, De-Candolle dodawali średnie temperatury wszystkich dni od pewnej ustanowionej daty aż do czasu wystąpienia badanej fazy rozwojowej, przyczem temperatury niżej zera należy pominąć, ponieważ odpo-

wiadają one tylko okresowi zawieszenia czynności życiowych; zmiana temperatur, otrzymana w taki sposób, miała być w przybliżeniu wielkością stałą dla danej rośliny, fazy rozwojowej i stanowiska. Bez zasadność tego twierdzenia odrazu rzuci się nam w oczy, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że średnie temperatury dnia, wymierzone najczęściej w cieniu i na wysokości dwumetrowej, nic nie mówią o stosunkach cieplnych w jakich wegetuje roślina; np. wahania pomiędzy temperaturą w południe a chłodem nocy, jak również temperaturą gruntu zostają zupełnie nieuwzględnione—dwa czynniki, które w życiu rośliny posiadają niepoślednie znaczenie. Wreszcie oznaczenie właściwej temperatury powietrza w meteorologii jest nadzwyczaj trudnym zagadnieniem, nie rozwiązaniem do dziś dnia bez zarzutu. Pominąwszy jednak to wszystko, jasne jest, że dwa dni o jednakowej średniej temperaturze posiadają dla rośliny niekoniecznie jednakowe znaczenie. Dzień o temperaturze równomiernej należy uważać prawdopodobnie za neutralny; gdy zaś poranek jest chłodny — nie zabardzo jednak — i gdy roślina otrzyma znaczne ilości ciepła od wznoszącego się słońca, w takim razie rozwój jej posunie się szybciej naprzód. Uwagi powyższe zawierają tyle zarzutów przeciwko metodom badania, że gdyby teoretycznie istniał jakikolwiek ścisły związek pomiędzy temperaturą a okresami wegetacyi, to wykrycie go byłoby niemożliwe. Nic więc dziwnego, że botanik z Gies-sen, H. Hoffmann, który z całą ścisłością wypróbował regułę Boussingault'a i De Candolle'a, przyszedł do wniosku, że wahania z roku na rok tych mniemanych stałych termicznych są tak znaczne, że należy je bezwarunkowo odrzucić. Hoffmann zamierzał ominąć tę trudność, wprowadzając zamiast temperatur w cieniu maksymalne temperatury dnia. Sumował on od 1-go stycznia do czasu występowania danej fazy temperatury maksymalne wszystkich dni, odczytane na termometrze wystawionym na słońcu, opuszczając temperatury niżej zera; metodę swoją Hoffmann poparł mnóstwem wyliczeń, wyróżniających się znaczną zgodnością dla jednego i tego samego stanowiska (Giessen).

Jednakże Schaffer¹⁾ na podstawie spostrzeżeń zebranych w Szwajcaryi znalazł, że sumy temperatur otrzymane sposobem Hoffmanna ulegały z roku na rok znacznym wahaniom w zależności od wcześniejszego lub późniejszego ukazywania się badanego okresu rozwojowego; t. np. sumy temperatur maksymalnych znalezione dla listkowania klonu górskiego wahały się pomiędzy 863 C° i 1701C°; zgodności takiej nie można uważać za zadowalającą.

(DCN).

T. Kolodziejczyk.

¹⁾ Schaffer. *Über die Anhängigkeit der Blütenentwicklung der Pflanzen von der Temperatur* Diss., Bern, 1878.

¹⁾ Zwłaszcza, jak to stwierdził p. R. Hult (*Recherches sur les phénomènes periodiques*. Upsala 1881), ciepło wywiera decydujący wpływ na pierwsze okresy rozwoju rośliny: listkowanie i kwitnienie.

Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



O przebiegu pogody w listopadzie roku 1910.

(Sprawozdanie Wydziału Meteorologicznego przy Polskiem Towar. Krajoznawczem).

Listopad sprawozdawczy w przeciwieństwie do poprzedzającego go października odznaczał się w Królestwie częstymi i obfitymi opadami, nie miał jednak tak chłodnego charakteru, jak w Bawaryi.

W pierwszej połowie miesiąca przeważały wiatry zachodnie. Po pierwszych dwóch dniach miesiąca mających temperaturę łagodną, nastąpiło ochłodzenie. Dnia 8 i 9-go listopada temperatura podniosła się, następnym dni zaczęła opadać, lecz dnia 16-go nastąpiło nowe ocieplenie, przyczem niektóre miejscowości osiągnęły maximum temperatury 10° C i więcej. Od tej daty kierunek wiatrów panujących zmienił się na wschodni, temperatury zaś obniżały się stopniowo, osiągając minimum (do — 12° C) w dniu 26 listopada. Ostatnie dni miesiąca odznaczały się piękną, umiarkowaną mroźną pogodą.

Temperatury średnie miesięczne wahały się koło 1,5° C i mało się różniły od średniej listopada z kilku lat ostatnich. Pierwszy dziesiątek miesiąca był dżdżysty. W dzień św. Marcina (12-go listopada) zgodnie z przysłowiem ludowym w znacznej części kraju spadł pierwszy śnieg. Obfitsze śniegi spadły w pierwszych dniach ostatniego dziesiątka. Wysokość średnia opadów była znaczna i doszła do 46 mm. (wobec 15 dni bez opadów), lecz rozkład opadów był bardzo nierównomierny; wysokości miesięczne wahały się mianowicie od 10 mm. w kutnowskim do 11 mm. w Krynicach (pow. tomaszowskiego g. lubelskiej), wzrastając w 2 kierunkach ku północy-wschodowi i południu — wschodowi.

TABELKA METEOROLOGICZNA.

a) Temperatura:

Nowa Słupia: Średnia mies. 1° C.
M a x. 10,2° C. dnia 2-go. M i n. — 5,07° C. dnia 30-go.

b) Opady:

Suchedniów (g. kielecka).	54	16
Bieliny „	70	16
Św. Krzyż „	94	19
Nowa Słupia „	75	17
Jędrzejów „	67	17
Wysokie (g. lubelska).	76	14

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.
Tom. III. r. 1909.

Trzeci z kolei rocznik Wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk zawiera następujące prace:

L u d w i k J a n o w s k i. O pismach historyczno-literackich Jundziłła.

I. J a k u b o w s k i. Kroniki litewskie.

D r. I g n. T. B a r a n o w s k i. Epigon feudalizmu na Białej Rusi.

W a n d a l i n S z u k i e w i c z. Domniemane kurhany litewskie.

M a r e k G o z d a w a. Augustyanie w Brześciu Litewskim.

J ó z e f J o d k o w s k i. Pieczęcie wileńskie w Muzeum Rumiancowskim w Moskwie.

W i l a Z y n d r a m - K o ś c i a ł k o w s k a. Pięć listów Norwida.

J ó z e f K l i Ń s k i. Nieznany list Franciszka Karpińskiego.

L u d w i k C z a r k o w s k i. Druki polskie wydane w Wilnie w roku 1909.

W a c ł a w S t u d n i c k i. Rękopis o stosowaniu prawa Magdeburgskiego w Wilnie na początku XIX w.

Sprawozdanie ze stanu Twa Przyjaciół Nauk w Wilnie w roku 1909.

Sprawozdanie ze stanu zbiorów, gromadzonych przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie, w r. 1910.

Spis Członków.

K. K - ć.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Od korespondenta naszego z Rabsztyna otrzymujemy alarmującą wiadomość o wandalizmie sąsiednich mieszkańców, rozbiierających pamiątkowe ruiny zamku rabsztyńskiego... w poszukiwaniu „ukrytych tam pieniędzy“, a właściwie w celu pozyskania cegły na budowę pieców i kominów. Zarząd Tow. Krajoznawczego zwrócił się do Oddziału swego w Kielcach z propozycją poczynienia energicznych zarządzeń, aby najbliżsi obywatele zechcieli rozciągnąć nad ruinami w Rabszynie skuteczniejszą opiekę.

◆ ◆ ◆

+ Dokładne rezultaty spisu ludności w W. Ks. Poznańskim z d. 1 grudnia r. b. nie są dotychczas znane, mianowicie co do stosunku narodowościowego.

Nie tak prędko pewnie dowiemy się, w których miejscowościach będzie można urządzać publiczne zebrania polskie. Okazało się, że w W. Księstwie jest 9 miast z więcej niż dziesięciu tysiącami mieszkańców, a mianowicie: Poznań (154,811), Bydgoszcz (57,111), Piła (26,082), Inowrocław (25,631), Gniezno (25,340), Leszno (16,989), Ostrów (14,757), Krotoszyn (13,063), i Rawicz (11,505).

+ Korespondent Dziennika Poznańskiego o ze Złokomorowa na Łużycach donosi co następuje:

— Na cmentarzysku naszych pobratymców, na ziemi serbsko-łużyckiej osiadł robotnik polski, znajdując pracę w kopalniach węgla brunatnego, fabrykach brykiet, cegielniach i tym podobnych przedsiębiorstwach.

Na dolnych Łużycach, a więc na piaskach braniborskich, jest dziś 10 a nawet więcej tysięcy polaków.

Tworzenie towarzystw polskich było niejako obowiązkiem światłego robotnika. Pierwsze takie towarzystwo powstało w Złokomorowie. Tu polacy wybudowali świątynię Pańską. Wprawdzie biednie wygląda ten dom

Boży na zewnątrz i wewnątrz, ale bądź co bądź mają polacy kościołek, gdzie się pomodlić mogą w swym ojczystym języku.

Jeszcze przed kilku laty była tylko jedna parafia w Złokomorowie. Dziś są następujące parafie: w Fürstenwalde, Kletwitz, Gr. Röschen i Neu-Walcow. Kazania i śpiew polski rozbrzmiewają co drugą niedzielę, choć, co prawda, polacy tworzą w każdej parafii większość z wyjątkiem Fürstenwalde, gdzie tylko latem, gdy robotnik sezonowy tutaj przebywa, dochodzimy do większości.

+ Ogłoszono urzędowanie o zatwierdzeniu ustawy Towarzystwa Podolskiej kolei żelaznej. Założycielem Towarzystwa jest Józef hr. Potocki. Kolej Podolska zaczyna się od stacyi Szepietówki kolei Południowo-Zachodnich i dochodząc do Kamieńca Podolskiego zbliży się do miasteczka Dunajowiec. Linia przejdzie przez miasta Starokonstantynów i Płoskirów; długość jej wyniesie 224 wiorsty. Towarzystwo będzie eksploatowało linię kolejową w ciągu 81 lat, poczem kolej ze wszystkimi urządzeniami przechodzi na własność skarbu. Na linii kursować będą 2 pary pociągów osobowych i trzy pary towarowych. Koszt budowy kolei obliczono na rub. 17,800,030.

+ Ważną sprawę poruszył w ubiegłej sesji sejmku galicyjskiego poseł Julian bar. Brunicki, a jest nią sprawa ochrony zabytków przyrody.

O ile bowiem konserwację zabytków historycznych i poszukiwania archeologiczne popiera się wedle możliwości, o tyle zabytki i osobliwości przyrodnicze giną i nic się nie robi dla ich zachowania.

W tym względzie oprócz tworzenia muzeów przyrodniczych, należałoby co rychlej przedsięwziąć kroki mające na celu ochronę osobliwszych gatunków naszej fauny i flory. I tak już bowiem znikły z naszych lasów tur i żubry, bobry i wydry są na wymarcu, dropie i głośnie należą do rzadkości, a blizkie wytępienia kozice i świstaki uratowała od ostatecznej zagłady ustawa krajowa z roku 1869.

Podobną opieką należałoby otoczyć inne blizkie wyginięcia zwierzęta.

Z dziedziny flory cis i limba jak również jawor i szarotka alpejska w Tatrach stają się coraz radsze. Należałoby przeto istnienie ich zabezpieczyć. Wogóle dla zabezpieczenia zupełnej zagładzie przyrody pierwotnej kraju byłoby wskazane tworzenie w charakterystycznych warunkach przyrodniczych tak zwanych rezerwacyi, które miałyby wszelkie dane do utrzymania i rozwoju osobliwszych okazów naszej fauny i flory.

Rezerwacye takie istnieją prawie we wszystkich krajach. Początek w tym względzie zrobiły Stany Zjednoczone Ameryki północnej swoim Yellowstone-parkiem o przestrzeni 8700 km. kwadratowych. Poza tem utworzono je również w Australii i na Tasmanii, a także w Szwecyi (tundra lapońska).

Szwajcarya, oprócz ogólnych starań celem zapobieżenia zagładzie flory alpejskiej i pięknych głazów narzutowych, utworzyła okręg ochronny w dolinie Val Cluoz w Engadinie, na obszarze 22 km. kwadratowych.

W Austrii istnieją jedynie rezerwacye w Czeskim lesie. W Galicyi byłoby pożądanym utworzenie dwóch większych rezerwacyi: na zachodzie w Tatrach, na wschodzie w okolicach Czarnohory, gdzie dziś znajdują się jeszcze prawdziwe puszcze leśne nie tknięte siekierą; prócz tego zaś byłoby odpowiednie tworzenie mniejszych okręgów ochronnych. W ten sposób możnaby zabezpieczyć pola woskowe w Dźwiniaczu i Staruni z ich wykopaliskami (mamuty), dalej t. z. „Siwą wodę“ (terme siarczana) w Wyżyskach i gejzer „Kipiączkę“ pod Szklęm, a wreszcie pod Leżajskiem piękną roślinę zwaną „Azalią pontyjską“, jest to bowiem jedyne miejsce w Austrii a jedno z niewielu w Europie, gdzie się tę roślinę spotyka. Z powodu odroczenia sejmku ważna ta sprawa nie weszła już w sesyi bieżącej na porządek dzienny, lecz jest wszelka nadzieja, że czynniki miarodajne, oceniając całą ważność tej kwestyi, nie dadzą jej już upaść.

+ We Lwowie przy budowie domu narożnego przy ul. Ochronek i Kochanowskiego odkopano w trzymetrowej głębokości duży fragment brązowej armaty olbrzymiego kalibru z częściowo zachowanym herbem królewskim i resztkami napisu: „REGNO...ANNO DNI M... VLADISLA...“ oraz śladami ornamentyki w formie karpiej łuski. Herb otoczony jest wieńcem laurowym, sam odlew zaś, o ile z zachowanego fragmentu ocenić można, jest jednym z lepszych pomników dawnego odlewnictwa.

Wykopalisko powyższe jest echem olbrzymiej katastrofy, która spotkała Lwów w r. 1704 w czasie najazdu Karola XII. Razem ze wszystkimi bogactwami miasta, zabranemi przez szwedów, uległa wówczas zniszczeniu także cała artylerya królewska i miejska. Sto siedmiesiąt jeden armat i moździerzy, znajdujących się w obu arsenalach na murach i wałach, których nie mógł uwieść ze sobą zdobywca, bądź roztrzaskano, bądź to zakopano lub zatopiono w bagniskach. Odkopany obecnie szczątek działa odlanego za Władysława IV jest pamiątką tego strasznego pogromu i przez inżyniera p. Norberta Atlasa został oddany do zbiorów „Muzeum narodowego im. króla Jana III“.

TREŚĆ: A. Sujkowski—Kultura a ludność; B. Janusz—Karaici i cmentarzysko ich (z 1 ilustr.); St. Th.—Kamienica Baryczków w Warszawie (z 5 ryc.); Adam Chętnik—Myszyniec (z 1 ryc.); T. Kołodziejczyk—O prowadzeniu spostrzeżeń fenologicznych;—Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. — Z piśmiennictwa. — Kronika Krajoznawcza.—Poza tekstem: Z naszych krajobrazów: 12. Z Mińszczyzny.

Witłę tytułową i ozdoby (motywy krakowskie) w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łąkał St. Miślicki.—Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński.—Kłiszę wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Piliicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.